

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

Wszedł do gabinetu pana Ginory'ego śmiałym krokiem i skłonił się przed nim lekko. W ukłonie tym bystre oko sędziego dojrzało stuczną brawurę i wyzwanie.

Jerzy Montin powiódł spojrzeniem dookoła. Pośród dozorcami dojrzał nieznaną mu postać Pradesa. Zdawał się być zdziwionym tym widokiem.

Pan Ginory tymczasem badał ich obydwoh. Chciał koniecznie podchwycić jaki znak porozumienia pomiędzy tymi ludźmi, których uważał za współników. Dostrzegł tylko, że Karol Prades z ciekawością patrzył na przybyłego — nic zaś w zachowaniu Jerzego Montin nie zdradzało, żeby kiedykolwiek już w życiu spotkał tego człowieka. Twarz oskarżonego spokojna była, spojrzenie poważne i obojętne.

— To jest mistrz w sztuce symulowania. — pomyślał sędzia — Nie zdradzi się nigdy.

Pomimo, iż niechętnie i surowo usposobiony był względem oskarżonego, sędzia w tej chwili odczuł mimowolny podziw dla tej niezwalczanej siły charakteru i zuchwałego uporu. Bernardet był również obecnym temu spotkaniu, tak bowiem sobie życzył pan Ginory.

Stał trochę na uboczu i małe przenikliwe jego oczy nie schodziły z twarzy Jerzego Montin. Patrzył i badał z taką intensywnością i skupieniem, że ciemne żyły wybiegły na jego wypukłe czoło, a oczy chwilami przysłaniała mgła zmęczenia.

Po jakimś czasie wyraz rozczarowania i niezadowolnienia osiadł na jego okrągłej twarzy. Więc nic! nie odczyta z tej dumnej, wyniosłej maski, on, taki zręczny do podchwytывania myśli najuporniejszych przestępców! Bernardet był wściekły! Nie mógł dotąd wybać, czy istnieje jaka łączność pomiędzy tymi ludźmi, a w podobnych wypadkach, przy zorganizowaniu nagłego spotkania współników, ci zazwyczaj zdradzali się ruchem jakimś, spojrzeniem, czy słowem. Zdumienie ich i niepokój nie uszło nigdy jego bystrej uwagi, a tu nic, zgola nic!

Na spokojnej twarzy Jerzego Montin nie zadrgał muskuł żaden!

Badanie sędziego również pozostało bez skutku. Zniecierpliwiony odwrócił spojrzenie od oskarżonego i wyrzekł krótko, wskazując na krzesło stojące przed nim w pełni światła, bijącego od okna.

— Proszę tu usiąść.

Jerzy Montin posłuchał rozkazu w milczeniu.

— Czy pan poznaje tego człowieka? — zapytał pan Ginory.

— Ktorego? — odparł Montin.

— Tego, który tu stoi przed panem. — rzekł sędzia, wskazując Pradesa.

Po kilku sekundach obserwacji, oskarżony odpowiedział pewnym głosem:

— Nie! Nie znam go.

— Nie widział go pan nigdy?

— Nigdy.

— Zdaje mi się, że się pan myli.

— Nie myślę się, panie sędzio. — odparł Jerzy Montin, patrząc prosto w oczy sędziemu.

— A pan? — zwrócił się sędzia do Pradesa — Czy spotkał pan już kiedy Jerzego Montin?

— Nigdy! — odpowiedział Prades, chrypliwym głosem, który dziwnie nie harmonizował z czystym i pewnym brzmieniem słów Jerzego Montin.

— Ten pan jest jednakże oryginałem portretu, sprzedanego przez pana pani Colard.

— Portretu, sprzedanego przezemnie? — powtórzył z osłupieniem Prades wodząc niespokojnie oczami.

— Proszę się bacznie przypatrzeć panu Montin. — wyrzekł rozkazująco sędzia — Czy nie rozpoznaje pan tych rysów? Czy nie widzi pan, że portret przedstawia tego właśnie człowieka.

— Tak, to prawda. — wyszeptał Prades, którego rozszerzone źrenice wbiły się upornie w twarz więźnia.

— Więc pan przyznaje, że mamy przed sobą oryginał portretu?

— Przyznaję. Podobieństwo jest widoczne.

— Ah! To doskonale! — zawołał pan Ginory z wybuchem żywego zadowolenia — Mam nadzieję, że teraz wyjaśni nam pan rzecz niejedną.

— Nie mam nic do wyznania.

— Zobaczymy. Przedewszystkiem proszę mi powiedzieć, w jaki to sposób mógł pan tak szybko rozpoznać oryginał w rysach portretu, skoro pan

twierdzi, że po raz pierwszy znajduje się w obecności Jerzego Montin?

— Nie wiem. — wyszeptał Prades, nie rozumiejąc widocznie ważności tego pytania, zadanego w tonie swobodnym i naturalnym.

— Nie wie pan? A więc ja to panu wyjaśnię. — odparł dobrodusznym pan Ginory — Jest rzeczą pewną, że rozpoznaje pan te rysy, dla tej przyczyny, że wpatrywał się pan długo w portret, który był w pana posiadaniu, miał go pan często w rękach, przyglądał się pan mu, obracał w rękach, coś robił nawet koło niego. Ot, na przykład mógł pan ramy z niego zdejmować! — rzucił nagle pan Ginory, patrząc uważnie w twarz Pradesa.

— Ramy? Jakie ramy? — zapytał tenże ze zdumieniem — Nic nie rozumiem z tego, co pan mówi.

— A mnie się zdaje, że pan rozumie — odrzekł stanowczo pan Ginory — albo zrozumie za chwilę, do czego ja panu chętnie dopomogę.

— Ale te ramy? Skąd to przypuszczenie? — wymówił Prades, z lękiem patrząc na sędziego.

— Nie tylko je pan oglądał, ale nawet oderwał i to z siłą. — mówił dalej przekonywująco pan Ginory — Widzi pan te ślady, pozostawione na płótnie? Odkryliśmy, jak pan widzi, portret ten u pani Colard, możemy więc z równą łatwością odnaleźć ramy, należące do tego obrazu u innej handlarki. Nie prawdaż, Bernardet, że ty to w kilku godzinach potrafisz zrobić?

— Oczywiście, panie sędzio! — odrzekł uśmiechając się chytrze Bernardet.

— Wie pan więc, jak rzeczy stoją. I jeżeli do zeznań pani Colard, bardzo jasnych i prawdziwych, dodamy jeszcze inne, cóż wtedy pan będzie miał do powiedzenia, panie Prades.

W gabinecie sędziego zaległo teraz głębokie milczenie. Prades odwracał głowę to w tę, to w inną stronę, patrząc błędnie oczami, szukając jakiegoś wyjścia z tej matni, w jaką niespodziewanie popadł.

Ciężkie spojrzenie Jerzego Montin spadło na niego i obejmowało całą jego niepewną postać. Pan Ginory zaś ze swojej strony badał surowo każdy rys i drgnienie jego zmienionej i bladej twarzy.

Nareszcie Prades przemówił. Głos jego był zduszony i urwany.

— Powtarzam, że nic z tego nie rozumiem. O jakiej ramie wspomina pan sędzio? R ma i portret? Cóż to ma znaczyć. Dlaczego pan sędzio tak nalega na mnie? Zeznania tej kobiety są fałszywe i niewiem, o jakich innych zeznaniach pan mówi. Gdzie jest ten drugi świadek, który ma mnie obarczyć tem nowem zeznaniem?

— Gdzie jest świadek? — powtórzył pan Ginory — Oh! O to niech się pan nie troszczy! M że się znajdować bardzo blisko. Zawezwę go tu po raz drugi.

— Dosyć jednego! — wyrzekł Prades, rzucając na wylekniętą panią Colard wściekłe spojrzenie.

W głosie jego brzmiała okrutna groźba i gniew, kiedy dodał po chwili:

— Dosyć jednego świadka! Nawet zanadto! Nie powinien się tu znajdować!

Palce jego ręki prawej zaciskały się przy tych słowach nerwowym ruchem, jak gdyby na rękojeści noża.

Bernardet zauważył ten ruch wymowny i od tej chwili nabrał przekonania, że rzeczywistym mordercą pana Rovere nie był Montin, lecz Karol Prades.

Widział tę silną, masywną rękę, uzbrojoną w ten sam nóż, który znaleziono w jego kieszeni, pochyloną nad skrwawionem ciałem nieszczęśliwej ofiary, po dokonaniu zbrodni.

Ale w takim razie jakąż tu rolę grał Jerzy Montin? Czy był jego współnikiem? Tamten mógł być tylko jego biernym narzędziem któremu narzucił swoją wolę i opłacił stosownie. Bo przecież Bernardet nie mógł ani na chwilę zapomnieć, że rysy Jerzego Montin, jako dowód niezbity jego winy, pozostały odbite w źrenicach zmarłego.

Chociaż nieme i bezsilne, oskarżały Jerzego Montin, że w chwili ostatniej konania znajdował się przy zamordowanym swoim przyjacielu i że był świadkiem zbrodni tamtego.

Jasne zeznanie pani Colard, dotyczące się Karola Pradesa, nie pozostawiło żadnych wątpliwości w umyśle pana Ginory.

Ten Prades był z wszelką pewnością człowiekiem, który odsprzedał jej portret byłego konsula. Tego jeszcze jednak sędzia nie wiedział, czy portret ten danym mu był przez Jerzego Montin. Rezultat konfrontacji był bardzo nikły i na nim sędzia nie mógł opierać dalszych swoich wywodów. Nic jeszcze nie wskazywało, żeby ci dwaj ludzie, stojący teraz przed nim, znali się i spotkali kiedykolwiek. Montin nie okazał najmniejszego zmieszania na widok Pradesa,

ten zaś zdradził się tylko rozpoznaniem w nim modelu, służącego do portretu, dokonanego ręką malarza B ulry. Stanowczo zaś twierdzenie handlarki, pani Colard, obciążało poważnie Karola Pradesa.

Pan Ginory pierwszy przerwał milczenie, trwające długą bardzo chwilę

Nie podnosząc oczu od biurka, wyrzekł krótkim, rozkazującym tonem, zwracając się do pisarza:

— Proszę przygotować mandat!

Prades napróżno chciał poprzez głowę pisarza odczytać napis, widniejący na arkuszu urzędowego aktu.

Wówczas pan Ginory odsunął lekko fotel swój od biurka i, skinąwszy na pisarza, rozsiadł się wygodnie spokojnym donośnym głosem zadając pytania:

— Nazwisko?

— Prades! — odpowiedział niespokojnie zapytany.

Na twarzy jego, bladej i ściągniętej kurczowo, widniała bezsilna wściekłość i przestach. Musiał domyślić się, że ten zapisany arkusz papieru uczyni z niego wkrótce więźnia, przed którym zamkną się na długie lata ciężkie, okute drzwi, prowadzące do wolnego życia.

— Imię? — pytał dalej sędzia.

— Henryk!

— Przed chwilą jeszcze mówił pan Karol. Proszę się nie mylić. Omyłki takie są zgubne.

— Henryk, Karol, czy Karol, Henryk, to wszystko jedno! — odburknął Prades — Jak sobie pan sędzia życzy.

— Życzę sobie tylko, żeby pan mówił prawdę. — odparł surowo pan Ginory, podczas kiedy pióro pisarza z lekkim zgrzytem biegnie szybko i wprawnie po rozłożonym papierze.

— Zięcie?

— Handlowiec.

— Wiek?

— Dwadzieścia ośm lat.

— Miejsce zamieszkania?

— Sydney, w Australii.

Na papierze urzędowym, z wydrukowanym nagłówkiem i uwagami, wolne białe miejsca coraz szybciej wypełniane zostawały okrągłem, równym pismem pisarza.

„Sąd pierwszej instancji w departamencie Sekwany.

Mandat aresztowania Henryka Karola Pradesa.

Ja, Edmund Jerzy Ginory, sędzia śledczy, rozkazuję wszystkim agentom policyjnym, zatrzymać wyżej wymienionego oskarżonego i zaprowadzić do więzienia w Mazas w myśl ustawy prawnej.

Karol Henryk Prades, lat dwadzieścia ośm, handlowiec z Sydney, oskarżony jest o współnictwo w zbrodni, dokonanej na Piotrze Ludwiku Rovere, byłym konsulu w Buenos-Ayres.

Polecamy dyrektorowi więzienia w Mazas odebrać więźnia i zatrzymać go do dalszego rozporządzenia. Wzywam wszystkie władze sprawiedliwości publicznej do współudziału w wykonaniu niniejszego wyroku, o ile by tego zaszła potrzeba.

Wydane w Pałacu Sprawiedliwości w Paryżu 12. lutego 19...

Pod stemplem, umieszczonym na wyroku, pan Ginory ręką pewną złożył swój podpis, mówiąc równocześnie do pisarza:

— Rysopis oskarżonego proszę starannie wypełnić!

Wówczas stała się rzecz nieoczekiwana. Prades skoczył naprzód z zamiarem rzucenia się na sędziego, ale już ciężkie i sprężyste ręce Bernardeta opuściły się silnie na jego ramiona i przykuły do miejsca.

— Spokojnie, spokojnie, mój przyjacielu — wyrzekł z mocą. — Widzisz przecież, że jesteś w naszych rękach!

Twarz Pradesa poczerwieniała, żyły na skroniach krwią nabiegły. Przez chwilę usiłował uwolnić się z żelaznego uścisku agenta, rzucił się raz jeszcze korpusem naprzód z wściekłym wyrazem w rozszerzonych oczach i ręce drapieżnym, gwałtownym ruchem wyciągnął ku szyi sędziego.

Druga para rąk zwała się na niego ciężko i ubezwładniała. Wówczas Prades, pokonany już i bezsilny, nie bronił się już dozorcem, którzy go otoczyli, odpychając na drugi koniec pokoju.

Z ust jego wybiegł tylko dziki okrzyk:

— Aresztujecie mnie? Do stu piorunów! Wy mnie aresztujecie?

Pan Ginory, spokojny i obojętny, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło, wsparł się ramionami o biurko i, bawiąc się piórem, wyrzekł powoli, uśmiechając się z zadowoleniem:

— Ten jeden moment rozjaśnił wszystko. Człowiek ten sam się zdradził najlepiej, dzięki wybuchowi złości. Chciał się na mnie rzucić, tak, jak się rzucił na pana Rovere. Pamiętaj, Bernardet — zwró